

# OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 2

WĄBRZEŻNO, DNIA 27 KWIETNIA 1935 ROKU

ROK 5

## BIAŁA LILJA

### Legenda

Dawno temu, bardzo dawno, kiedy Najświętsza Panienska chodziła po ziemi i jeszcze Jezusek był maleńki, też nie brakło złych ludzi.

Niedaleko od tej wioski, gdzie mieszkała święta Rodzina, był tam cieśla, który ulegając namowom żony, zamierzał się zacząć na wracającego nocą z miasteczka świętego Józefa i życia go pozbawić.

— On ci zarobek odbiera — mówiła niegodziwa kobieta — a Marja dumna z tego, że mąż ma zawsze roboty dość, głowę nosi niby królowa jaka. Zobaczymy, czy jej nie pochyli, kiedy Józefa nie stanie.

A miał ów cieśla u siebie sierotkę po siostrze, którą nieraz Marja opatrzyła kawałkiem chleba, gdy z głodu płakała i swoim słodkim głosem pocieszała w strapieniu.

Boskiem tedy zrządzeniem, ona ma-lutka sierotka słyszała całą rozmowę między cieślą, a jego żoną i pomna mi-łosierdzia doznanego nieraz od Naj-świętszej Panienski, postanowiła ostrzec ją przed grożącym niebezpie-czeństwem.

Właśnie Marja przedła przed do-mem, a maleńki Jezusek, zrobiwszy z dwóch drewniaków krzyżyk, bawił się opodal. W tem sierotka, cała drżąca ze strachu i zmęczenia, przypadła do Jej nóg i z płaczem rzecz całą opowiadać zaczęła, prosząc o zachowanie tajem-nicy, „bo jakby się dowiedzieli — rze-ka, — że to ja powiedziałam, tyleby było życia mojego”.

Chytry cieśla zauważył odrazu zni-knięcie dziewczyny i domyślił się, że poszła ona do Marji z ostrzeżeniem i pośpieszył za nią, mówiąc do żony:

— A to dziewczyna, zobaczy! Już raz na zawsze się jej odechce opowia-dać o tem, co w domu słyszała.

Sierotka, jak zobaczyła niedoszle-go zbójcę, tak prawie skamieniała i poczęła wolać:

— Ratuj mnie, Pani moja, tyle ra-zy okazywałaś nademną miłosierdzie Swoje, nie opuśćże mnie i teraz.

A Marja na to:

— Nie bój się dziecino, zostaniesz na zawsze przy Mnie, nie oddam cię na poniewierkę!

I położyła dłonie swoje na głowie dziewczęcia, a wzniosłszy oczy do nie-ba, prosiła Ojca Przedwiecznego o zmi-łowanie.

I — stał się cud. W miejscu, gdzie stała dziewczyna, wyrósł cudny kwiat, którego białe kielichy taką woń rozsiewały dokoła, że maleńki Jezusek przy-bliżył się do Matki, pytając:

— Matuchno, a co to za kwiatek? Takiego jeszcze nie widziałem. On ta-ki śliczny, nazwijmy go „lilijką” do-brze?

— Dobrze, Synaczku Mój jedyny, niech zowie się lilijką.

Dlatego też na obrazach najczęściej spotykamy Najświętszą Panienskę z lilją, bo ten kwiat umiłowała.

## Szuflada i głowa

*Pewien uczony,*

*Bardzo mławiony,*

*Pokazywał mi szufladę.*

*— Patrz, co to ja w te papiery,*

*Przez lat trzydzieści i cztery*

*Rozumu, nauki kładę.*

*Ach! — ktoś na to z boku doda —*

*Cóż to za wielka szkoda,*

*Moi mili panowie,*

*Że rozum i nauka,*

*Któręj każdy w głowie szuka,*

*U tego pana w szufladzie, —*  
*nie w głowie.*

*Józef Ign. Kraszewski.*

## Zgubiony pieniądz

Boczną ulicą gwarne miasta szedł starszy pan, wspierając się na lasce, twarz miał pogodną, oczy wyrażały dobroć i powagę. Idąc wolno, zauwa-żył dziecko zapłakane, stojące bezradnie przed bramą dużej kamienicy, podszedł do małej, może sześć lat li-czącej dziewczynki i zapytał:

— Dlaczego płaczesz maleńka?

Dziecko podniosło na niego wielkie czarne oczy, w których malowała się bezwzględna szczerłość, nie znająca kłamstwa i rzekło smutnie:

— Mamusia posłała mnie po chleb, dając mi 50 groszy. I ja ten pieniądz zgubiłam. A mama tak ciężko pracuje.

Stary pan pogładził włoski wino-wajczyni, pytając, jak się to stało, że

nie uważała na dany pieniądz, mo-że zapomniała go zabrać z domu?

— Nie, nie, — mówiło smutnie dziecko — wychodząc z domu, trzy-małam pieniądz mocno w rączce, aby mi nie wypadł. Ale przechodziła ulicą taka piękna pani z dziewczynką, któ-ra popychała wózek, a w wózeczku siedziała duża lalka z prawdziwymi włosami.

Chwilę szłam za niemi i patrzałam. Gdy przypomniałam sobie o pieniąż-ku, już go nie było. Szukam ciągle, ale nie mogę znaleźć.

Siwy pan zwrócił uwagę, że niedo-brze postąpiła sobie, na drugi raz po-winna pamiętać o zleceniu matki i od-razu je wykonać. Wreszcie wyjął z portmonetki taki sam pieniądz i podał go małej. Raz jeszcze pogładził jej włoski, gdy mu dziękowała za pomoc, poczem oddalił się. Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, przybiegło do nie-go dziecko, wołając radośnie:

— Znalazłam pieniążek, znalazłam! Podnosiło go w górę jedną rączką, a drugą podawało nieznanemu otrzy-maną monetę.

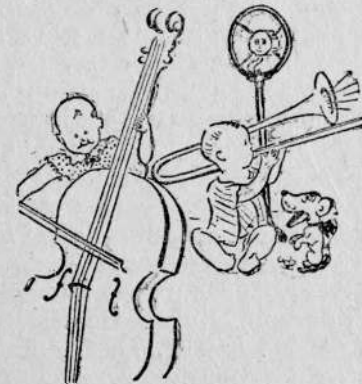
Sędziwego pana wzruszyła ta ucz-ciwość i kazał dziewczynce zatrzymać w nagrodę obydwie monety.

— W nagrodę — zapytała — prze-cież ja nic nie zrobiłam. Mama kaza-laby oddać.

Stary pan ze wzruszenia spojrzal na dobre, nawskroś uczciwe dziecko i rzekł:

— Czyń zawsze tak, jak matuś ka-że, a będziesz szczęśliwa.

## „WESOŁA REWJA DLA DZIECI”



ZE LWOWA DN. 27. IV. GODZ. 18.-

## Opowiadanie Cioci Pióro

### NUŚ MIK I KARAMBOLE ZE ŚWIĘCONEM

W samym rogu ogromnej otomany, siedzi mały Nuś z książką na kolanach. Obok przytulił się Mik. Mik to jest mały piesek biały w czarne łatki.

Jedną łatkę ma na samym środku nosa, drugą nad lewym okiem, trzecią na grzbiecie. Ogonek też jest cały czarny. Mik jest bardzo młody i bardzo wesóły. Nie lubi długo siedzieć na jednym miejscu.

W tej chwili siedzi tylko dlatego, że Nuś — pan Mika jest smutny. Lize od czasu do czasu rączkę Nusia, przypominając tem o swojej obecności.

Nuś jest smutny, może się trochę nudzi. Mamusia i tatuś poszli z wizytą. Nuś dostał książkę do oglądania i obiecał mamusi, że nie będzie psocił. Mik zaczyna się niepokoić. Mik nie może zrozumieć, dlaczego ten mały chłopczyk Nuś tak spokojnie siedzi. Szczekał dwa razy, pociągnął lekko za rękaw Nusia i zniecierpliwiony zeskończył na podłogę.

Nuś spojrział na psa, w tej chwili zapomniał zupełnie o obietnicy danej mamusi. Zsunął się z otomany i zaczęła się gonitwa dokoła stołu. Mik skakał, szczekał i chwycił zębami za majteczki Nusia.

Po chwili zmęczeni i zziębni stanęli.

Co robić!

Spojrzenie Nusia padło na stół ze święconem. Przysunął krzeselko i stanawszy na nim, przyglądał się z bliska tym cudom. Odlamał rozek sękacza, odlupał trochę różowego lukru z babki. Zato biedny Mik znosił straszne męki. Mik wie, że nie można tego jeść, bo za taką rzecz dostaje się baty. Więc stoi biedne psisko i wacha, wacha. Za stołem coś się poruszyło.

Mik nastawił uszy, nad słuchuje. Z pod stołu bokiem wysunął się kot. Tego Mik nie mógł znieść. Ta stara kocica siedząca zwykle na strychu, albo w kuchni ośmiela się tu wejść. I może ma zamiar ściągnąć coś ze stołu, a potem wszystko skrupi się na Miku. Mik rzucił się na kotkę z głośnem ujadaniem. Kotka na stół, Mik za nią. Kotka fuka, Mik szczeka. Kotka uciekając przewróciła sękacz, potrafiła Nusia, który straciwszy równowagę siadł prosto na salaterce z malowanymi jajkami. Jak wyglądało święcone po tej bitwie, trudno opisać. Tort był stratomany, babki poprzewracane, prosię pieczone spadło na podłogę, a na majteczkach Nusia widniała pognieciona

biało-żółta masa. Nuś patrzył na stół z przerażeniem. Co powie mama.

Nuś bardzo kocha mamę i mama jest taka dobra, dla Nusia, tylko zupełnie nie rozumie, że taki dorosły mężczyzna, mający aż 6 lat nie może posiedzieć pół dnia spokojnie, oglądając ciekawe obrazki.

CIOCIA PIÓRO.

### O pyszałku lisku i o skromnym ślimaku

— Tatusiu, opowiedz nam bajeczkę, zaczęły prosić dzieci.

Tatusz uśmiechnął się i zaczął w te słowa:

Słuchajcie! Pan lisek z bardzo zanego i znanego rodu lisów, należał do wesółych jegomościów i ogromnie lubił stroić żarty ze wszystkich, szczególnie zaś ze słabszych od siebie.

Pewnego razu, pan lisek był w szczególnie wesółym humorze. Martwił się tylko tem, iż nie spotkał na swej drodze nikogo, z kim mógłby pożartować.

Wreszcie spostrzegł wlokącego się ścieżynką ślimaka.

— O, dzień dobry kumie Szybkonogi! — rzekł lisek drwiąco.

— Jak się masz towarzyszu Ołowiano-nogi — odpowiedział ślimak, podnosząc swe rożki ku lisowi.

— Jak powiedziales? Ołowiano-nogi?

— A tak.

— Oj, kumie, w głowie ci się pomieszało. Toć znają mnie wszystkie zwierzęta w lesie, iż biegać umiem!

— Hm! Zdarza się czasami, że ślimak jest naprawdę Szybkonogi a lis Ołowiano-nogi.

Lisek stropił się, lecz tylko przez chwilę.

— A wiec, kumie, możebyśmy się zmierzyl? Staniesz ze mną do wyścigu?

— Czemu nie. A jaki dystans

— Choćby do rzeczki.

— Dobrze. — Żeby wam jednak towarzyszu lisku nie było zbyt trudno ścigać się ze mną, stanę za wami, na całą długość waszej lisiej ozdoby, to jest lisiego ogona!

— A to zarozumialec! — krzyknął lisek na dobre rozgniewany.

— To się okaże. A teraz wyciągnij dobrze ogon o tak! I uważaj, gdy policzę — raz, dwa, trzy — wyścigi się zaczynają! Zgoda?

— Zgoda! burknął lis, a tak był rozdrażniony niespodziewaną propozycją ślimaka, iż zadął z niecierpliwości, by wyśmiać zarozumialca.

— Uwaga! — zawołał ślimak.

— Raz, dwa, trzy!

Po chwili był już lisek na brzegu

rzeki: zadowolony ze siebie, machnął swą piękną kitą i odwrócił się zdumiony, ujrzał ślimaka, spokojnie siedzącego za nim.

Ślimak uczepony u jego puszystej kity odbywał tę samą podróż bez żadnego zmęczenia.

Z wielkiego zdumienia, gniewu i wstydu, słowa przemówić nie mógł. Podwinął swą długą kitę i po chwili już go widać nie było.

Podobno od tego czasu bardzo stracił na humorze i niechętnie zaczyna żartować.

### Urwis na przechadzce

Miał Jasio psa Urwisa. A Urwis to był co się zowie i dlatego właśnie zawsze na łańcuszku trzymany. Jasio chętnie byłby go zabierał ze sobą, gdy wychodził na przechadzkę z mamusią, ale mamusia stanowczo była temu przeciwna.

— Będzie psocił, i zamiast przyjemności na przechadzce, będziemy mieli zgryzotę, odpowiadała na prośby synka.

Zdarzyło się pewnego dnia, że mamusia zachorowała, i Jasio wówczas zdołał ją uprosić, by pozwoliła Urwisowi mu towarzyszyć. Jasio był uszczęśliwiony.

Ale wkrótce już przekonał się, że lepiej byłoby, gdyby był posłuchał mamusi. Zaledwie uszli kilka kroków, Urwis z całej siły targnął rzymkiem i oswobodzony, w radosnych podskokach popędził naprzód.

Jasio za nim.

Urwis tymczasem zabiegł drogę gęsi i szcękając zajadle, napędził jej niemało strachu.

Wtem ujrzał wychylający się z poza płota łepkę kota. Porzucił gęsi i dalejże pod płot. Daremnie jednak próbował dosięgnąć kota. Płot był za wysoki. A kot patrzył na daremne wysiłki Urwisa i mruczał z zadowolenia.

Urwis wziął odwrot i znów pędził przed siebie, nie zważając na krzyki Jasia. Po drodze chwycił piłkę, którą bawili się chłopcy. Nie cieszył się nią długo. Przestraszony widokiem właściciela, który zabiegł mu drogę, grożąc laską, piłkę porzucił. Jasio był tuż, tuż i miał chwycić Urwisa, gdy ten niespodzianie odwrócił się i co sił w nogach pobiegł ku domowi.

Gdy zdyszany Jasio przybył do domu, Urwis już był na swem miejscu przy budzie i na widok Jasia począł wesolo merdać ogonkiem i patrzył na chłopca jakgdyby chciał powiedzieć: Ja jestem bardzo zadowolony z przechadzki, a ty?

## Staś i kot

— A dzień dobry, panie kocie!  
Czemu leżysz i próżnujesz?  
Coś nie myślisz o robocie  
I na myszy nie polujesz?

Otóż właśnie myślę o tem,  
Mój paniczku, żeś ladaco,  
Że zamiast się drażnić z kotem,  
Mógłbyś sam się zająć pracą!

T. Nowosielski.

## Do grobu matki

Niezwykłe wzruszającą a tragiczną historję opisywały przed dwoma laty gazety włoskie.

Pewien chłopczyna Dominico Altomonto mieszkający w Medjolanie, jest od czwartego roku życia sierotą. Grób jego matki znajduje się na południu Włoch w miejscowości Barlett.

Czternastoletni Dominico od dawna marzył o tem aby odwiedzić grób matki i ustroić go kwiatami. Niestety, ojciec jego, ubogi robotnik, nie posiadał nawet tyle pieniędzy, aby spełnić to rzewne marzenie biednego sierotki. Dominico jednak postanowił za wszelką cenę odwiedzić mogiłę matczyną i w tajemnicy przed ojcem z groszowych swych oszczędności ciułał czas długi potrzebną sumę.

Zdawało mu się wreszcie, że posiada mnóstwo pieniędzy; wyruszył zatem w podróż do grobu matki. Niestety, okazało się, że nawet na bilet kolejowy nie wystarczyło i Dominico ruszył odważnie piechotą. Sypiał po drodze przeważnie u chłopów, a w dzień maszerował niestrudzenie przez cudną włoską krainę.

Dotarł do Neapolu.

Piękne, niewinne marzenia małego sieroty zostały brutalnie podeptane. — Chwycili go żandarmi i jako wałęsającego się włóczęgę pod eskortą odstawili do domu swego ojca — do Medjolanu.

I dlatego mały Dominico nie ukwiecił grobu swej matki i nie przytulił swej twarzyczki do ziemi, która kryje jej szczątki.

Lecz nie zraził się mały Dominico niepowodzeniem swej pierwszej wędrówki do mamusi. — dziś pracuje on ze zdwojoną energją, zbiera zaoszczędzone grosze i już niedługo pojedzie na grób matki, wypowie jej swe przeżycia, wyśpiewa swój ból i tęsknotę.

Dojdzie on do celu swych marzeń! — A Wy, kochane dziateczki, czy jesteście także gotowe do poniesienia choćby drobnej ofiary dla Waszej kochanej mamusi?

## Franek filut

Z Franka filut jest nielada;  
Posłuchajcie moi mili,  
Jako z koszem tym się sili,  
W którym tęga gęś zasiada;  
Słońce grzeje, pot się leje,  
Biedaczysko, aże mdleje.  
Już nie może, już przystawa,  
Co tu począć? trudna sprawa.  
Wreszcie w leb uderza palcem:  
„Ha, choć jestem takim malcem,  
Głowę mam nie od parady,  
Więc dam sobie wnet tu radę“.  
I z powagą profesorską,  
Z miną arcy-senatorską,  
Swoym nożykiem kosz narzyna  
I dwie dziury w nim wycina,  
A przez owe w koszu dziurki  
Gęsie przeciąga pazurki.  
Pomysł w biedzie wymyślony,  
Świątynym skutkiem uwieńczony.  
Gęś — jak piechur maszeruje,  
A nasz Franek podskakuje,  
I mesolo przyspiewuje,  
Że jej niesć nie potrzebuje.

## Gdzie jest Pan Bóg

Pewien ksiądz proboszcz zgromadził dziatwę swej parafji na naukę i opowiadał jej o Bogu.

— Który z was może mi powiedzieć — zapytał — gdzie mieszka Bóg?  
Každy z małych podniósł rękę do góry.

— Dobrze, Piotrusiu, wiesz? więc mów.

Był to chłopiec sześciolatek.

— Księżu proboszczu — rzekł — Pan Bóg mieszka za wsią. Gdy się idzie przez wieś drogą, potem skręci się na lewo, to znajduje się wśród drzew domek, a w tym domku mieszka Bóg.

Dzieci zaczęły się śmiać serdecznie, nawet sam ksiądz uśmiechnął się, ale dodał zaraz:

— Spokój, nie powinniście się wyśmiewać z małego Piotrusia. Powiedz, Piotrusiu, skąd wiesz, że Bóg właśnie tam mieszka?

Piotruś stał całkiem zakłopotany śmiechem dzieci, dopiero łagodne słowa księdza dodały mu znowu odwagi.

— Księżu proboszczu! — odpowiedział chłopczyna — niedawno byłem tam z moim ojcem. On mi właśnie pokazał ten dom i rzekł: „Przypatrz się dziecko, w tym domku mieszka stary Jakób z żoną, jego córka z mężem i swojemi dziećmi. — Mieszkają tutaj wszyscy razem i są uprzejmymi względem siebie; nikt nie słyszał tu jeszcze złego słowa. Rano, w południe i wieczór odmawiają tutaj pobożnie „Anioł Pański“ i różaniec. I tu — dodał ojciec — tu mieszka Pan Bóg“.

Podczas tej długiej mowy błysnęły chłopczynie łzy z oczu, gdy wyrzekł ostatnie słowo, nie mógł dłużej panować i wybuchnął płaczem:

Ksiądz rzekł jednak:

— Nie płacz, mój mały, twój ojciec ma słuszość. Bóg jest wszędzie, gdzie dobrzy ludzie mieszkają, którzy się do Niego modlą, gdzie wszyscy są przywiązani do siebie miłością chrześcijańską — i tam w tym małym domku, tam za wsią wśród drzew...

## Śmiejemy się

NA LEKCJI GRAMATYKI.

— Wół i krowa jest na pastwisku. Powiedz mi, jaki jest błąd gramatyczny w tem zdaniu?

— Proszę pana psora, damy mają pierwszeństwo!

—o—

ZNA GO!

Nauczyciel: — Weźmy na przykład, że ojciec twój winien jest 50 złotych rzeźnikowi i 50 zł piekarzowi — ile to jest razem?

Moryc: — 150 złotych.

Nauczyciel: — W jaki sposób?

Moryc: — Wliczam już w to koszta sądowe.

—o—

NASZE DZIECI.

Wszystkie miejsca w tramwaju są tak zajęte, że jeden z jadących zmuszony jest trzymać na kolanach swego siedmioletniego synka. Na jednym z przystanków wchodzi do tramwaju młoda dama i ogląda się za miejscem. Małec wstaje z kolan ojca i rzecze z galanterją: Proszę panią zająć moje miejsce!

—o—

SPRYCIARZ.

Władek śniegiem stłukł okno i miał za to dostać od ojca w skórę.

— Czem mam cię wybić? — pyta ojciec.

— Zieloną różgą leszczynową.

— To niemożliwe, teraz przecie zima.

— O... ja poczekam!

—o—

W SZKOLE.

— Jak się nazywali nasi pierwsi rodzice?

— Nie wiem...

— Przecież słyszałeś to ze sto razy!

— Ksiądz mówił tylko, że Adam i Ewa, ale nie mówił nigdy, jak się nazywali.

## HUMOR RADJOWY



Radjo wśród zwierząt.

JULJAN PODOSKI

**BANZAJ**

P O W I E S C

2)

— Nie cały poprawił Mirski — tylko Azję i Europę.

Zieniecki westchnął: — Zawsze marzyłem, żeby móc podróżować, ale niestety skończyło się na marzeniach....

Spostrzegłszy się, że wdaje się w swoje osobiste sprawy, pośpieszył naprawić błąd i jeszcze raz zapewnił ojca Stefka:

— Damy sobie radę niech pan będzie zupełnie spokojny.

Potrząsał rękę Mirskiego, małego ujął pod brodę:

— Chodź mój samuraju, sam zaprowadzę cię do klasy.

Ojciec skinął chłopcu głową i znikł. Wychowawca ogarnął Stefka ramieniem. Wolno zmierzali do klasy, która mieściła się na parterze.

Po drodze zagadnął:

— Czy dobrze pamiętasz Japonję?

— O tak.

— I lubisz ten piękny kraj?

— Czy lubię? — ożywił się Stefek — kocham go, bo moja mamusia była Japonką i ja sam się tam urodziłem.

Zieniecki z pod oka zerknął na chłopca.

— A u nas dobrze się czujesz?

Chłopiec jakby wahał się z daniem odpowiedzi. Wybawiło go zresztą od tego, zbliżenie się do klasy. Wychowawca popchnął go lekko w kierunku otwartych drzwi i sam wszedł za Stefkiem. Uczniowie wstali. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na małego Mirskiego. W oczach pierwszoklasistów ukazało się zdumienie.

— Co to za cytryna? — ryknął któryś na ostatniej ławce.

Groźnie drgnęły okulary Zienieckiego.

— Ślaza zwracam ci uwagę na niestosowne zachowanie się. Powinieneś pamiętać o tem, że jesteś drugorocznym co zupełnie nie przynosi ci zaszczytu. Zamiast wstydić się i siedzieć cicho, znowu zaczynasz?.

— Ja? — tłumaczył się dryblas w zbyt obcisłym mundurku — ja broń Boże, nic nie mówię, ale chciałbym się tylko dowiedzieć, dlaczego on jest taki żółty na buzi? — Wychowawca sponsował. Policzki jego nabiegły krwią:

— Milcz Ślaza!

Następnie zwrócił się do całej klasy:

— Proszę siadać.

Mirskiemu kazal zająć miejsce w pierwszej ławce przed katedrą i przystąpił do odczytywania długiej listy. Tymczasem, zgromiony na wstępie Ślaza nie dał za wygraną. W dalszych rzędach, odezwały się chichoty i piski, które jednak zamilkły, gdy wychowawca uniósł oczy z nad dziennika.

— Nie bójcie się go syczał Ślaza do najbliższych sąsiadów — ja go dobrze znam. Widzieliście jego nos? Ładny prawda? Taki sobie burak, dlatego w całej budzie nazywają go „Bury“.

Ponieważ klasa składała się z chłopców, którzy znaleźli się w niej po raz pierwszy, więc mimo zachęty Ślaza, niewielu jeszcze odważyło się naśladować łobuza. Ślaza zaś za wszelką cenę, starając się wyrobić w nowych kolegach szacunek dla swojej odwagi, schował głowę pod ławkę i ryknął w zwiniętą dłoń: — Buryyy.

Na ławkach zaległo trwożne milczenie. Jednakże wbrew oczekiwaniom, wybryk Ślaza nie wywołał burzy. Najwidoczniej Zieniecki nie chciał wszczynać awantury w dniu rozpoczęcia lekcyj. Bezczelny wybryk drugorocznego dryblasza uszedł bezkarnie. Rozzuchwialiło go to jeszcze bardziej. Tryumfującym spojrzeniem obiegł bliższe i dalsze ławki.

— No co czy nie miałem racji? — zdawał się mówić wzrok Jana Ślaza — z takimi, jak „Bury“, trzeba umieć postępować.

Rzeczywiście malcom ogromnie zaimponowała odwaga kolegi, z ostatniej ławki. Coraz więcej głów i coraz śmielej odwracało się w tył, aby z zainteresowaniem śledzić zachowanie się tego, który ośmielił się rzucić wyzwanie wychowawcy.

Łobuz rozpierał się dumnie, informując od niechcienia sąsiadów:

Słyszeliście i widzieliście? Dlatego tylko zostałem na drugi rok, że „Bury“ zemścił się za moje kawały...

Oczywiście nie wspominał o tem, że przyczyną pozostawienia Ślaza na „zimowanie“, było także osiem dwój, które dostał w końcu roku szkolnego. Skrzywdził mnie, więc teraz się mszczę!

Tymczasem Zieniecki ukończył odczytywanie listy obecnych i zaznamianowanie się z nowymi wychowankami. Złożył dziennik i zwrócił się do chłopców:

— Zaczynamy nowy rok szkolny, pragnę, żebyście żyli ze sobą w przyjaźni...

W tej chwili Ślaza wydał głos, przypominający parsknięcie dychawicznego konia nie zmieniając przytem niewinnej miny i nie odrywając oczu od nauczyciela:

— Kto to zrobił? — zapytał Zieniecki czerwieniejąc.

Nie było odpowiedzi.

Wychowawca powtórzył pytanie. Znowu nikt się nie przyznał.

Nauczyciel pokiwał smutnie głową:

— Wstyd mi za was, bo chociaż wiem kto to mógł uczynić, ale jemu brak odwagi do przyznania się. To jest zwyczajny tchórz, który potrafi awanturować się, lecz nie umie ponieść skutków przewinienia. Mam nadzieję, że odpowiednio ocenicie postępowanie tego galgana. Przynosi on wstyd nie tylko sobie, lecz także wam wszystkim.

Wśród chłopców kilku poruszyło się z oburzeniem. Kilku też, najbliższej siedzących od drugorocznego, syknęło ze złością:

— Przyznaj się!

Ślaza jednak nie myślał nawet o tem. Przeciwnie, korzystając z odwrócenia się Zienieckiego, syczał ze złością:

— Głupcy jesteście! A jeżeli któryś ze smarkaczy będzie się wtrącał do moich spraw, to dostanie takie wały, że go własna matka nie pozna.

Słyszeliście?

Wychowawca zbliżył się i zatrzymał przy ławce Stefka Mirskiego, zwracając się do całej klasy:

— Macie niezwyklego kolegę wśród siebie. Jest nim Polak, który urodził się w Tokjo, w dalekiej Japonji.

Stefek powstał.

— Mam nadzieję, — ciągnął Zieniecki, że mu okażecie radość z powrotu jego, do ojczyzny. Musi się czuć dobrze wśród nas, żeby się przekonał o naszej życzliwości.

Ślaza uniósł się w swojej ławce i wyciągnął długą szyję, żeby przyjrzeć się uważniej Mirskiemu.

— Żółte kurczę — mruknął po cichu, głośno zaś odezwał się: — czy mogę przywitać się z tym, jak go tam.....?

— Siadaj! — krzyknął wychowawca.

— Dlaczego? — oburzył się drugoroczny — przecież sam pan powiedział, że musimy być grzeczni dla tego małego?

— Ślaza, wynoś się z klasy — wybuchnął Zieniecki, nie panując dłużej nad sobą — dosyć się już dzisiaj napopisywałeś!

Łobuz chciał coś tłumaczyć, lecz zniecierpliwiony wychowawca porwał go za kołnierz i wyprowadził. Gdy drzwi się za nim zamknęły, odetchnął ciężko.

— Nie bierzcie z niego przykładu.

Chłopcy przycichli, przenosząc niepewny wzrok od Zienieckiego do Stefka.

(Dalszy ciąg za tydzień).